

czajopi/mo qmny
szkolnej uczenie
państwowe go qm-
dzium imienia
cyzanieckiej
w Łodzi

młot

L

WYDZIAŁ
KULTURY

Treść numeru :

Na 11 listopada — K. Lisowska III-c	1
Wspomnienie — D. Nowakówna VII-a	2
Jesienią w Sokolnikach — Andziakówna III-b	2
Śpi wieś polska — Szymańska VII	3
Legenda jednego miasta — Koralczykówna VIII	3
Marzenia — Kormanówna VIII	6
„O teatr szkolny...“ — „Mija i S-ka“	7
Rzeczywistość — Fantazje — B. W. VIII	8
Wpływ Horacego na Kochanowskiego — Winklerówna VIII	9
„Jadą wozy z cegłą...“ — Grönówna VIII	12
Wrażenia z wystawy: Opieka nad dzieckiem i młodzieżą	14
Sonata patetyczna: Wbrew woli — Kormanówna VIII	15
Z Jubileuszowego Zlotu Harcerskiego w Spale — Górską VIII	15
Obozy Straży Przedniej w Druji — Nowakówna VII-a	17
Z obozów P.W.K. w Istebnej	18
Z naszego „Osiedla“ — Nowacka VIII	19
Kochane Opiekunki!	21
„Wróg ludu“ — Ibsena (recenzja teatru)	22
Z pism nadesłanych	23
Kronika szkolna	24
W roku 1934/35 świadectwa dojrzałości otrzymały:	24
Koleżanki	24

Młodzieńczy Lot

wrzesień —
październik
listopad —
1935

Czasopismo wydawane
staraniem Gminy Szkolnej
uczeń Państwowego
Gimnazjum Żeńskiego
im. E. Sczanieckiej
w Łodzi

Nr. 29

Rok VI

Na 11 listopada.

Cicho w krypcie... mroczno w krypcie...

Blask tu skąpy pada...

...Dziadku, przyszedł Ci przypomnieć

Święto listopada!...

Leżysz w cichej, zimnej krypcie

Za kryształem trumny...

Taki, jak za życia drogi,

Taki wielki, dumny.

A tu u nas — fala życia!...

Ciągle ciągle nowa!

...Idą, idą wojska, zbroje

Na plac Mokotowa.

Czy wiesz, Dziadku, co za święto?...

Pamiętasz dzień taki?...

...Dołem idą wojska — wojska...

...Górami lecą ptaki...

Czy pamiętasz odgłos marsza,

Warkot samolotów,

Lopotanie chorągwiemi,

Okrzyki wiwatów?!...

...Czy pamiętasz także siebie,

Jak to uśmiechnięty

Patrzyłeś swym siwym okiem

Na lud swój przejęty?...

Dziś tak samo, dziś tak samo,

Tylko niema Ciebie...

Alé przecież patrzysz na nas! —

Tam — z wysoka — w niebie.

...Cicho w krypcie... mroczno w krypcie...
Blask tu skąpy pada...
... — Dziadku! przyszedł Ci przypomnieć
Święto listopada...

K. Lisowska kl. IIIc.

Wspomnienie.

Takaś dzisiaj wesoła — Mamo, choć słońce... deszcz pada...
Zniknęło dziś z oczu Twoich codzienne zmęczenie,
Na wiszący kalendarz podnosisz spojrzenie —
Już wiem! Jedenastego dziś jest listopada!!

„Ty nie pamiętasz tego — mówi mi Mateńka —
Taki był dzień jak teraz: chmurny i ponury.
Gdy naraz wieść runęła, jakby piorun z chmury,
Ze... Ty nie pamiętasz tego, boś była maleńka.

Przyszli nasi żołnierze, przyszli roześmiani,
Wołając już zdaleka: Wolna jest Warszawa!!
Wroga wypędziliśmy!! Polsce wolnej sława!!
... Jak myśmy ich witali... Boże, jak witali...

Ty nie rozumiesz tego, co to zerwać pęta —
Starzy ludziska sobie w ramiona padali...
Mówić nawet nie mogli.. śmieli się... płakali...
Ty tego nie pamiętasz, boś była maleńka.

D. Nowakówna kl. VIIa

Jesienią w Sokolnikach.

Cisza!... chociaż brzęczą małe muszki i słychać trele ptaków; głosy ich nikną jakoś w przestrzeni, boć to już jesień i słońce, chociaż gorące, nie ogrzewa tak stworzeń jak w lecie. Na lazurówym niebie nie widać ani jednej chmurki. Cisza w powietrzu, tylko nieśmiały wiaterek porusza drżące listki brzozy, jakby się bał przerwać cichy smutek, zawieszony w powietrzu.

Smutna się wydaje milcząca brzoza. Słońce weszło wysoko na niebie i oświeca jej postać wysmukłą i wiotką. Wyniosła jest i piękna w tej swojej dziwnej powadze, gdy tak stoi w złocistej szacie jesiennych listków. W promieniach słońca mieniają się brzozowe liście rdzą, zielenią, drżą za każdym silniejszym podmuchem wiatru.

Zdawaćby się mogło, że brzozy płaczą złotymi łzami...

... A na świecie robi się coraz smutniej, ciszej... i piękniej.

Andziakówna IIIb.

Śpi wieś polska.

Noc taka śliczna i cicha...
Śpi snem spokojnym wieś cała,
Śpi każda chatka, choć licha,
Ale tej nocy wspaniała!
Łagodne blaski miesiąca
Złocą słomianą jej strzechę,
Wiatr lekko gałęzią trąca,
Gładzi jak matka „pociechę“.
A każdej chałupy ściany
Bielą się zdala widocznie,
Zboku zaś sadek kochany
Na straży stoi odwiecznie.

Regina Szymańska

Legenda jednego miasta.

... No, dobrze! Chcesz, żebym ci coś opowiedziała? Chodź, usiądź, ot, tutaj przy oknie. Wpatrz się w mrok ulicy, w czerń wysokich kamienic, w strzelistą wysmukłość kominów fabrycznych i posłuchaj tego, co ci powiem! Posłuchaj historii pewnego miasta i tych, co je trudem i pracą swoją zbudowali.... Posłuchaj!!!!...

Ona urodziła i wychowała się na wsi. Zahartowała się w skrzypiącym śniegu i mroźnej rosie porannej, rozkwitła jak kwiat na słońcu, w rozedrganem, jasnym powietrzu, i miała duszę i serce słońcem i radością przepelnione. Była młoda i ładna. Jej przeżycia? Zwykle przeżycia młodej dziewczyny!... Aż przyszedł czas, że z przeszłości tylko wspomniała swoją pierwszą młodość i to: „Oj, dziś, dziś...!!!“ i inne obertasy, wygrywane na jej weselu i najpiękniejsze chwile w swoim życiu, spędzone z „Nim“. Po weselu wyjechali „za robotą“ — to była ich podróż poślubna.

Marzyli o dostatnim życiu i o szczęściu, o wspólnej pracy i o chwilach miłego odpoczynku.

Praca była, tylko nie taka, jaką sobie wyobrażali.

Była taka strasznie ciężka i niewdzięczna. Rano, niemal o świcie ona biegła do fabryki, jak żołnierz na posterunku, stała obok warsztatu w duszącym kurzu i ciężkiem, gorącym powietrzu, które ugniatało piersi. Wytężała oczy, żeby nie zrobić towaru „felernego“, bo za taki mniej płacą. Nogi ze zmęczenia gięły się pod nią, kiedy wracała do domu, do małego i ciemnego mieszkanka... Praca była; tylko nie było tego lepszego życia, jakiego pragnęli... Potem było

coraz gorzej.— Trzeba było dbać o dzieci, które przyszły na świat; a pieniędzy nie było, albo było bardzo mało. W fabryce robiła towary, w które nie ona miała się ubrać, a po pracy za psie pieniądze biegła na „Starówkę“, lub „Bałuty“, aby dostać tanio chleba, żeby wyszperać, gdzieby można było dostać najtaniej buty dla Antka, albo sukieneczkę jaką dla Andzi, żeby wytargować jeszcze pięć groszy taniej, za które można będzie kupić bułkę dla Józia, bo biedactwo chore. Gdy wracała do domu niemal chora ze zmęczenia, musiała w domu sprzątać, dzieciom jeść przyrządzić, w nocy pranie zrobić, bo wszystka czysta bielizna już wyszła. Rano musiała użyć całej siły swej chłopskiej duszy, żeby zwlec się z posłania, iść na nową „harówkę“, na nowe męki, żeby wiązać koniec z końcem swej nędznej egzystencji. Tak w koło, jak koń w kieracie bez wytchnienia... choć i koń czasami odpoczywa, więc człowiekowi też się chyba należy...!?

Aż wreszcie znikł z jej twarzy uśmiech na zawsze, bo kiedy się chciała uśmiechnąć, na twarzy ukazywał się grymas jakiś gorzki i wtedy dzieci płakały.— Jakie to były dzieci?... Ich nie pieścili rodzice. Kołysał je do snu czasem płacz matki, gdy nie miała czego sporządzić dla nich do jedzenia, czasem przekleństwa ojca, kiedy w mieszkaniu zjawiał się gospodarz po zaległe od dwóch kwartałów komorne.

Najstarsza córka była ładna, podobna do matki, dumna i ambitna: Duma była jej jedynym skarbem, którego nie mógł jej wydrzeć, ani władca — gospodarz, ani żaden mocarz; mogło ją wydrzeć jej chyba tylko samo życie.

Lecz nędza nie zbliżała tych ludzi do siebie: wieczna gonitwa za pieniądzem oddalała ich coraz bardziej.

Matka pochylała się czasem nad głowami dzieci, ale zmęczona ręka nawet ich nie pogłaskała. „Mamo! Matusi!...“ łkało coś w sercu, ale żadne z nich nie śmiało się przytulić do niej. A przecież ona je kochała:... może inaczej, niż zwykły kochać matki: kochała miłością; która nie rozpieszcza, lecz hartuje!

Wieczna praca, praca! To było krwawe bóstwo, pan i władca, tyran, który znęcał się nie tylko nad ciałem, lecz i nad duszą.

Wokół nich był zawsze kurz i mrok... Mrok zapadł głęboko w serce. Wszelka nadzieja uleciała z nich, jak ot,— ten dym z kominu. Stali się ludźmi — maszyną... Do mieszkania czasem przedzierało się słońce, ale ono nie niosło zbawienia ani ulgi... Mroczne twarze w ciemnych mieszkaniach — udręczone serca w kurzu fabrycznym. W głowie zamęt... w uszach szum... Na pasy transmisyjne nawija się męka tych ludzi, wielka jak świat. Brzmi groźna pieśń rozszalałych maszyn... trach! trach! trach!... Trzask czołenek — trzask padających w gruzy nadziei na lepsze jutro.

Patrz! Ot, tu w świetle latarni! To idzie ona. Nie szkodzi, że już przeszła. Tu idzie też ona: druga, trzecia, dziesiąta. Jakie ma brózdki na twarzy... nie myśl, że to od łez: ona już nigdy nie płacze... a jakie ma śmieszne, krzywe palce u rąk! Jak ona idzie! — jak manekin z drzewa... Ona nie jest zmęczona, nie myśl... ona już zmęczenia nie czuje... Chcesz jej rzucić swe pieniądze? Nie bądź śmieszna! Ona ci je w twarz odrzuci — przecież to nie żebraczka; i nędzy tylu tysięcy nie zmniejszysz groszami, i łez z ich serc już nie obmyjesz i nie wymarzesz z ich przeszłości turkotu rozszalałych maszyn... — Patrz, giną w mrokach!...

A te dwie zatrzymały się. Stoją tuż pod oknem. Słuchają radja z tamtej kamienicy. Słyszysz, jakie piękne słuchowisko?... smutne, takie z życia... Patrz, one się śmieją... ale jak!?... Co ta jedna mówi?: „Lepiejby ludziom głowy nie zawracali!“ Odeszły. A widziałas ich twarze? Nie potępiaj ich, że nie rozumiały tego słuchowiska. Nędzy ich życia nie potrafi oddać żaden poeta, nie potrafi naśladować żaden artysta. Nędza ludzi — maszyn jest stokroć większa od tego, co usiłują nam oni przedstawić.

— Dlaczego jesteś taka smutna? Czy to słuchowisko tak cię nastraja?

— Ty lubisz mitologję, prawda? Piękny jest ten mit o bogu, który grał, a głazy same się układały i tworzyły mury miasta Troi. Patrz! Oto przed tobą duże miasto. Wielkie domy obok małych, tutaj mieszkają oni. Kamienice, fabryki, kominy aż pod niebo, blaski i cienie... Bóg grał na strunach dusz tych ludzi, a oni z Jego woli wygrali na warsztatach cudowną pieśń tworzenia, podnieśli swą pieśnią głazy i stworzyli to oto miasto, miasto pracy i wysiłku. Te kominy fabryczne są ich pomnikami, a świąt w podzięce nazywa ich miasto „polskim Manchesterem“ Czy czujesz jak ogarnia cię coś dziwnego, coś, co bije z ulicy: melancholjja, czy smutek jakiś? To jest smutek i rezygnacja, która zagnieździła się w sercach „jej“ dzieci: jej ładnej córki i Józia wątego, bladego chłopca, którzy stoją teraz w pyłe przy warsztatach, które dawno oplakały już ojca, zmarłego na suchoty i matkę, która miała niegdyś słońce w duszy. Maszyna im tylko została i ona stara się ich jakoś rozweselić. Trach! Trach! Trach!... tworzy się ciągle coś nowego... Patrz, jak opada na nich pył i kurz! Już ich nie widać...

Czy słyszysz potężną pieśń niezmordowanej maszyny?...

S. Koralczykówna VIII.

Marzenia.

Trzydziestu dziewięciu „współ-
cierpiętniczkom“ poświęcam.

Kiedy byłam „wiekowa“ na sześć prawie wiosen,
„Usiadłam“ po raz pierwszy na królewskim tronie
I, przemawiając dumnie atlasowym głosem,
Dawałam ucałować „pomazańca“ dłonie.

Podczas długich, królewskich przechadzek pod stołem
Wśród roztrząsania losów moich i przeznaczeń
Zdecydowałam się być radzą i jeździć na słońiu...

Tylko, że los, ten zdecydował się inaczej.

W najcudniejszym, bajecznie — szczęsnym „wieku Grimma“
Stałam się demokratką i z złotego tronu
Abdykowałam; w skromnej szacie, drżąca z zimna
Jako Kopciuszek wzywałam wróżki pokryjomu.

Lecz po dwóch latach przyszły plany całkiem nowe:
Pragnęłam być poetką i, „tonąc“ w półmroku,
By móc w laurowy wieniec sławy zdobić głowę,
Rymowałam obficie w każdej porze roku.

(No, w tem miejscu najchętniej każdy przyznać raczy,
Że z tą poetką to los także chciał inaczej).

A potem stałam w todze i jak Zola grzmiałam,
„J'accuse“, lub wydzieralam ciceronińskiej złości
Przeróżne Katyliny, którym zdobywałam
Piorunem słowa całe potopy litości.

Lecz po niedługim czasie chciałam być artystką,
Niewolić tłumy ludzkie do śmiechu, lub płaczu
Mocą talentu, oczu jednym tylko błyskiem.

Tylko, że i tym razem los zrządził inaczej.

Za każdym nowem „naście“ inne ideały
Czas mi wytrząsał z rogu obfitości w darze,
Ale ostatnio jedno tylko pozostało
Na samym szczycie wieży Babel moich marzeń.

Dumnem czołem dziurami pogarbione chmury,
Najbardziej wytęsknione, najmilsze z majaczeń,
Ziszczenie, bliska prawie: osiągniętość matury,
Co mi duszę radością szczęśliwą owiewa,

Tylko (trzy razy odstukane w drzewo),
Żeby los — szelma, znowu nie zechciał inaczej!

S. Kormanówna kl. VIII.

„O teatr szkolny. . . .“

Dopiero teraz pod świeżym wrażeniem niedawno widzianej sztuki Żeromskiego p. t.: „Uciekła mi przepióreczka...“, zdałam sobie sprawę z tego, jak wielka jest różnica między utworem tylko przeczytanym, a tym samym utworem widzianym w teatrze. Sztuka ta nasunęła mi myśl, jak dobrzeby było widzieć przerabiane w szkole utwory na scenie. Czy nigdy nie zastanowiliście się, koleżanki, nad potrzebą teatru szkolnego? A może nie wiecie, co to takiego? No, to w takim razie posłuchajcie samego organizatora takiego szkolnego teatru, znanego nam tak dobrze ze wspaniałej kreacji Przełęckiego — wielkiego artysty — Juliusza Osterwy:

„Przed trzema laty w porozumieniu z panem Kuratorem zorganizowałem w Krakowie t. zw. teatr szkolny, który był jakgdyby uzupełnieniem lekcyj polskiego. Wystawialiśmy utwory z zakresu lektury szkolnej obowiązkowej czy też nadprogramowej, przyczem przedstawienia rozpoczynały się o 10-ej przed południem. Sztuk takich wystawiało się 6 do 8 rocznie. Młodzież, która nie umiała się zdobyć na należyte poszanowanie Słowackiego i Mickiewicza, która wspaniałemi utworami naszych wieszczów „kopała sobie jak piłkę nożną“ — przez żywe słowo zupełnie inaczej odnosiła się do danego utworu. Młodzież widziała na scenie nie aktorów, lecz prawdziwie, żywo czujących ludzi. Wystawiając daną sztukę, staraliśmy się bardzo dokładnie odzwierciedlić ducha danej epoki, aby młodociana publiczność od razu mogła się zorientować w charakterystycznych rysach obyczajowych ówczesnych czasów.

Zarzucono nam, że przedstawienia przy świetle dziennem nie dawały oczekiwanego efektu. Mam wrażenie jednak, że tak mogą mówić tylko snobi, potrzebujący dla stworzenia nastroju w teatrze „różowych abażurów do lamp“. Cenię przede wszystkim młodzież za to, że nie potrzebuje sztucznej podniety dla „stwarzania“ i że odczuwają wszystko mocniej i szerzej od dorosłych. Zamiast cichej krytyki wołą głośnie wyrażanie swych uczuć, bijąc brawa, gdy im się coś podoba, lub poprostu tupiąc i gwizdząc, gdy coś nie przypada im do gustu. Teatr tego rodzaju może przynieść ogromne korzyści samej młodzieży, która uczy się poznawać wartość teatru. Najlepszym zresztą dowodem tego jest młodzież krakowska. Dziś, po trzech latach uniwersytet krakowski zakupuje przedstawienia teatralne, na które uczęszczają nie tylko sami studenci względnie uczniowie, lecz także starsi odpowiednio nastawieni przez młodych słuchaczy. To też zachęcony tem powodzeniem organizuję obecnie na wielką skalę teatr szkolny w Warszawie“.

Nie wszyscy się z tem jednak zgadzają. Jednym z gorąco protestujących przeciwko takiemu teatrowi jest autor „Przylądka dobrej

Nadziei", „Rubikonu“ i wiele innych znanych nam książek — Zygmunt Nowakowski. Sądzi on, że teatr szkolny jest „stratą czasu, a uciechą dla sztubaków“, że młodzież nie odnosi żadnych korzyści z tych sztuk, że „do teatru idzie w ubraniu świątecznym. O ile się je ma. W każdym razie nie powinno się iść od roboty. Trzeba się przynajmniej oczyścić. No i nie iść z paluchami powalanemi atramentem“. Mam wrażenie, że nas jako uczenie bezpośrednio dotyczy ta sprawa. Powinniśmy więc stanąć w obronie naszego teatru. Nie przypuszczam, aby obejrzenie w godzinach szkolnych (raz na 2 miesiące) sztuk naprawdę wartościowych mogło być stratą czasu. Najlepszy przykład miałyśmy, zresztą na „Dziadach“ — który oglądałyśmy w Warszawie zeszłego roku, no i teraz na „Przepióreczce“. Jak inaczej odczuwałyśmy potem tragedję Gustawa i Przełęckiego! Jak inne nawet bardziej ożywione były lekcje polskiego.

Ciekawe także, jak Z. Nowakowski pojmuje kwestję ubrania. „O ile się je ma! A o ile się go nie ma? Czy dlatego tylko ma się być pozbawionym teatru? Teatr szkolny dotyczy przecież nas, uczenie i uczniów, posiadających jako strój tylko mundur, z którego jesteśmy bardzo dumni. Mam zresztą wrażenie, że do teatru nie przychodzi się poto, aby pochwalić się swą toaletą... Ja osobiście uważam, że teatr właśnie taki, o którym mówi Juliusz Osterwa, przyniósłby nam wiele korzyści, nauczyłby rozumieć i prawdziwie odczuć to, czego się uczymy, a co czasem w czytaniu niezupełnie do nas przemawia, zbliżyłby nas trochę do teatru, od którego obecnie jesteśmy jeszcze, niestety, bardzo daleko...

„Mija i s-ka“.

Rzeczywistość — Fantazje.

Jest w Gdyni jeden dom zupełnie odmienny od wszystkich: ani nie jest podobny do nowoczesnych gmachów, ani do starych domków rybackich, których pozostałość spotyka się jeszcze w okolicy portu rybnego. Dziwnie wygląda ten domek z czerwonej cegły, nawet nie otynkowany wśród 5-cio i 6-cio piętrowych wspaniałych budynków, tem dziwniej, że znajduje się on w samym centrum miasta przy zbiegu ulic: 10 lutego i Świętojańskiej. Każdego obcego przybysza dziwi ten domek i pociąga, lecz skoro podejdzie on bliżej, zdziwienie znika, głowę chyli z pietyzmem. Wszystko tłumaczy brązowa tablica wmurowana od strony ulicy Świętojańskiej

Tu mieszkał i tworzył arcydzieło
„Wiatr od morza“ Stefan Żeromski.

Żeromski...

Z tablicy spoglądają na przybysza oczy, nie widzące go, zapatrzone w potęgę Bałtyku, który zaledwie o sto kroków bezmiarem głębi i fal gra melodję, rzucając fale na fale, na piasek, szepce, nie każdemu zrozumiałe słowa.

... Żeromski... on i ja... my...

Pierwszy z pisarzy polskich który zwrócił uwagę naszą na morze, na jego znaczenie, który wykazał, co mieć możemy z morza. Pamiętamy wszyscy słowa Baryki o szklanych domach, o wykorzystaniu energii morza... dla elektryfikacji. Piętnaście lat temu pomysły te były tylko fantazją, lecz dziś? Teraz, w dobie wielkiego rozwoju techniki, gdy każdy najfantastyczniejszy i najbardziej nierealny projekt może się stać rzeczywistością?

Fala fale goni. Nawet gdy spienione fale z wściekłością suną do brzegu, schylają dumnie czoła pienistych grzywaczy i w pokornym, cichem zanikaniu oddają hołd temu, co mieszkał w czerwonym domku, temu, który często rozmawiał z niemi, z morzem. O czym?... To wiedzą tylko oni. On i morze.

Żeromski....

B. W. k^l. VIII.

Wpływ Horacego na Kochanowskiego.

Jan Kochanowski, podobnie, jak wszyscy wybitni humaniści zaczął swą twórczość poetycką od pisania wierszy łacińskich. Na twórczość Horacego zwrócili mu uwagę prawdopodobnie jego mistrzowie uniwersyteccy, między którymi znajdował się wydawca dzieł Horacego i słynny komentator jego Poetyki Robortello.

Podczas swego pobytu w Paryżu Kochanowski zetknął się zapewne z dziełami Ronsarda, twórcy liryki francuskiej, który lirykę Horacego tak przyswoił poezji francuskiej, jak to uczynił Horacy z liryką grecką. Po powrocie do kraju stanął Kochanowski w rzędzie polskich horacjonistów. Pisał on wiersze łacińskie według wzorów artystycznej poezji rzymskiej, a po części i greckiej.

Łacińskie ody horacjańskie nie były w Polsce nowością, pisywali je już niemieccy i ślascy humaniści, którzy uczyli w Polsce pod koniec XV w. W Krakowie pisali już Paweł z Krosna i Krzycki, ale dopiero Kochanowski wyspecjalizował się niejako w odzie horacjańskiej i stał się godnym poprzednikiem największego horacjanisty europejskiego, Sarbiewskiego, zwanego Horatius Sarmaticus. Naj-

piękniejszym owocem naśladowania Horacego jest dwanaście ód, wydanych przez Kochanowskiego w Krakowie w r. 1580 jako *Lyricorum libellus*. Kochanowski, biorąc za wzór t. zw. „rzymskie ody Horacego, w których zachęca on młodzież do uprawiania cnót przodków, występując jako „*Musarum sacerdos*“, niosący chłopcom i dziewczętom, „*carmina non prius audita*“, porusza w sześciu z nich najżywotniejsze kwestje polityki współczesnej (1573—1579), związane z wypadkami za czasów Henryka Walezego i z pierwszymi latami panowania Stefana Batorego. Poeta wzywa nowoobranego króla, by nie zwlekał z przybyciem do Polski, błaga boginię Zgody o opiekę nad niespokojną ojczyzną. Używa on w tych utworach zwrotów poetyckich, zaczerpniętych z poezji Horacego, np. w pieśni „*Ad Concordiam*“ naśladuje Kochanowski formę i dyspozycje Horacego hymnu do Merkurego.

Wyżej pod względem artystycznym od ód politycznych stoi pozostałych sześć ód prywatnych, zwróconych do przyjaciół. W odzie X, zatytułowanej: „*In villam Pramnicanam*“, opiewającej siedzibę biskupów krakowskich w Prądniku pod Krakowem, zwracają uwagę czytelnika Horacego nie tylko metrum Alcejskie, lecz i zwroty z ody do Maecenas, którym tu dla Kochanowskiego jest biskup Myszkowski. Kochanowski, zaprawiwszy się na liryce łacińskiej, staje się Ronsardem polskim w dwóch księgach pieśni, napisanych w języku ojczystym. Najsilniej przejawiał się w tych utworach wpływ Horacego. Wiersze jego w utworze, poświęconym Muzom, nazywa Kochanowski „droższymi niż złoto“. Zbiorek ten tworzą utwory: „Pieśń o potopie“, wzorowaną na odzie Horacego o wylewie Tybru, z pieśni zaś miłosnych pieśń I, 6 przeróbka ody Horacego na drogę odpływającej kochanki. Stosownie do wzoru, pieśni w tym zbiorze mają silniejszy charakter horacjański, lub więcej elegijny. Różnią się one nie tylko nastrojem, lecz formą wiersza i budową strof. W pieśniach towarzyskich, horacjuszowskie: „*dulce est desipere in loco*“ — miło jest poszaleć w odpowiednim miejscu (*Carm*, IV, 12), wprowadził Kochanowski w pieśni I, 20, wzywając szlachtę do zabawy. Podobnie jak Horacy w odzie I, 38 nie wymaga przepychu w biesiadzie, Kochanowskiemu również wystarczy odpowiednie towarzystwo i lutnia (II, 16). Nie gardzi jednak i winem, jego pochwałami wypełnia pieśń I, 3, naśladując Honoracego (III, 21) Gani gospodarza, gromadzącego u siebie kłótliwych pijaków, których uważa jak i Horacy (wp. 27, I) za barbarzyńców. Kochanowski również, jak Horacy jest wrażliwy na piękno przyrody, otworzył Polakom na nią oczy i nauczył ich wyrażania dla niej zachwytów. Wiosnę maluje on rysami Horacego, ale jak i dla Horacego zima również ma dla niego wiele uroku. W skwarnem lecie, „kiedy słońce pali, a ziemia idzie w popiół prawie“, siada w cieniu lipy, jak Horacy w cieniu topoli i pociesza strapiiony umysł lutnią.

W „Pieśni Świetojańskiej o Sobótce“ poeta, chwalać wieś, używa w zakończeniu motywów z Horacego Epody 2-giej.

W pieśniach patryjotycznych Kochanowski, chcąc dać wyraz swym uczuciom, uderzył w najwyższy ton. W pieśni I, 10 wzniósł się jak horacjuszowski ptak nad chmury, sięgnął aż do słońca i do przybytku samego Boga. Jak Horacy w V pieśni, III ks. ubolewał nad krzywdą Rzymian z powodu klęski, zadanej Krassusowi i przypominał poświęcenie się Regulusa w okresie wojen punickich, tak Kochanowski, pod wpływem wieści o strasznym spustoszeniu Podola, napisał pieśń 5 ks. II, horacjuszowskich Scytów zamieniając na Tatarów.

Horacjański i elegijny charakter większości pieśni Kochanowskiego wymagał, by dla czystości stylu nie umieszczać wśród nich utworów religijnych, zawierających pojęcia nieantyczne.

W „Pieśni o potopie” zmienił jednak poeta pierwotne jej zakończenie chrześcijańskie na horacjańskie:

„Pomni się lutni! Nie twojej to głowy
Wspominać Boga żywego rozmowy“.

„Desine Musa referre sermones deorum“ mówi Horacy (III, 3 w. 70) We fragmencie trzecim wielbi Boga i poleca (za Horacym III, 2) zaprawiać młodzież do trudów i walki.

Filozofja pieśni Kochanowskiego jest horacjańska, a zarazem typowo humanistyczna. Charakter jej jest endemonistyczny, gdyż celem życia w niej jest szczęście, wyrażające się w trwałym zadowoleniu. Poeta pozostawił dwie księgi pieśni, chociaż zamierzał liczbą ich dorównać horacjańskiej czwórce, o czym świadczą zachowane w papierach fragmenty. Przedwczesna śmierć (1584) przerwała jego „słodko brzmiące nici”. Przekłady Kochanowskiego pieśni Horacego posiadają samodzielną wartość obok oryginału. Są one przeróbkami Horacego na miarę i stosunki polskie. Naśladuje w nich Kochanowski przykład samego Horacego, który pieśń zaczynając znaną nam wszystkim, o Soracte od dosłownego przekładu Alcaiosa w dalszym ciągu opuszcza przewodnika i snuje własne refleksje. Trafnie zauważył tłumacz Horacego, Popiel, że „Poeta z Bożej łaski zechciał się cudzemi posługiwać skrzydłami“.

Podobnie jak u mistrza rzymskiej liry, rozum górował u Kochanowskiego nad natchnieniem.

Czem dla Horacego była stara liryka grecka, tem dla Kochanowskiego była prócz jej nielicznych fragmentów liryka i elegja rzymska. Stanowiła ona dla niego wzór i normę twórczości. W tem znaczeniu byli oni obaj nietylko uczniami, ale i naśladowcami poprzedników, a chluby swej szukali w przeniesieniu obcych gatunków na grunt rodzinny, w stworzeniu we własnym języku takich dzieł, jakie im się najbardziej podobały w obcym.

U Horacego w dążeniu do przeszczepienia liryki greckiej na grunt rzymski widać, podobnie jak u Kochanowskiego świadomy program, który przez całe życie konsekwentnie przeprowadzali. Jeśli się śledzi

następstwo dzieł Kochanowskiego od Fraszek poprzez Psalmy do Pieśni, widać u niego wyraźny program literacki, realizowany powoli, lecz wytrwale.

Uznanie, jakim się cieszyli Horacy i Kochanowski, przeszło na pokolenia i wieki. Horacego liryka przetrwała wbrew jego najśmielszym oczekiwaniom dłużej, niż państwo rzymskie, a sławny wiersz „scandet cum tacita virgine pontifex“ wraz z rytmiką tego utworu, w którym mówi z dumą o swej chwale, zabrzmiał świeżo w literaturze polskiej w świetnym utworze Tuwima, opiewającym bohaterski trud niedawno zmarłego Marszałka.

Kochanowskiego naśladowania Horacego wywołały późniejsze przekłady tego poety od Petrycego do Naruszewicza i Mickiewicza, który mówi o nich w liście filomaty Jeżowskiego.

Czterechsetna rocznica zgonu Kochanowskiego, obok szeregu prac naukowych natchnęła wielu poetów do utworów, sławiących dzieło wieszca z Czarnolasu.

Dwutysiąclecie urodzin jego wzoru — wielkiego Quintusa Horacjusza obchodzi w dniu dzisiejszym cały świat cywilizowany.

Winklerówna kl. VIII.

Na marginesie

„Jadą wozy z cegłą”...

Po cegielnianej ulicy turkoczą wozy. Czerwone słońce zachodzi za cegielnią, rdzawy pył wlecze się za wozami. Czuć w powietrzu ten czerwony pył ceglany, który zasłania cały świat: cegielnię i posesję 697 A i Juliana Grzybonia i Wietrakowskich i Olka Madaja i Poratowicza i Florę i Kirjacką... Zasłania całe życie ludzi z cegielni; strajk „kryzys“, wszystko przenika czerwona rdza cegły.

Autorami tej książki są Bogusławska i Kornacki — zespół literacki „Przedmieście“. Mówi nam ona też o życiu przedmieścia tego tam, wiecie, pod cegielnią, gdzie to jak śmieci porozrzucane są małe domki robotnicze; a tam dalej Glinianki i łąki; od których to wieczorem taki zapach idzie, że matka godzinami stać może i weń się wczuwać...

Właśnie matka. — Książka porusza wiele ciekawych spraw: mówi się o kwestji społecznej, dziś tak palącej; wiele jest ciekawych postaci... dlaczego właśnie teraz staje mi przed oczyma obraz matki? Nie wiem. Boć to przecież zwykła, niczem od innych nie różniąca się kobieta, ta Wietrakowska — którą wszyscy matką nazywają. Może trochę bardziej od innych nieśmiała. Cóż w tem dziwnego?

... Że to psem opuszczonym się zajęła i tę wisienkę z powrotem do ziemi zasadziła...

— Że to w ziemi grzebie z taką lubością, i potem ziołka nosi do chorych i że ma lekką rękę przy pielęgnowaniu cierpiących...

... Że potajemnie, żeby „stary“ nie widział, jeszcze i mięsa, kawałek i płatki owsiane Knorra zanosi do tej chorej Stasi Białkowskiej... Matka. Biedna, spracowana matka, która teraz, oddychając wiatrem, idącym z błonia, z za cegielni, dziękuje Bogu za tyle dobra. Ciężko miała w życiu; a teraz dziwuje się sama sobie, bo kimże ona jest, zamiast stać nad balją albo prasować półkoszulki, zawsze niedość sztywne, zamiast zmywać, szorować, zlatywać z piętra na dół po sto razy do sklepiku i wypraszać kredyt, tłuc się ciągle, przenosić z kąta w kąt za tajemniczymi sprawami męża, o których on jej nigdy nie powie, a których ona i tak nigdyby nie pojęła... bo kimże ona jest, żeby zamiast tego miała w ogródku na własnej posesji, każdą grudkę ziemi przez palec przesiewać jak złoto, sadzić i podlewać i patrzeć, jak rośnie... wisienka?

Taka matka, co to każdemu pomaga. Nie ona winna, że mąż jej oszust, że nie wypłacił nawet tym dzieciom z huty. Ona o tem nie wie — zresztą, nawet sił niema, żeby tę Antoškę wyrzucić, co ją sobie „stary“ najał — służącą.

Albo ta druga matka — ta Elza. Mąż jej myślał zawsze o Florze, jej siostrze, i tamtą kochał. A ona ma usta na sznureczek ściągnięte — Julian.

Nawet na majowym nabożeństwie na nikogo nie popatrzy, tylko śpiewa sama sobie, swojemu nieszczęściu. A gdy jednak spojrzała, matka zobaczyła jej surową twarz, oczy smutne i niedobre i pomyślała sobie, że ta dopiero miała ciężkie życie.

Ta Elza, która klęczy w żarliwej modlitwie przed pozłaczonym świętym i łez nie może znaleźć po mężu, córce, synu, — co to wiecznie pyta Boga, czy jej Julian — ten, co zmarł we więzieniu — na wieki potępiony, czy już nie pomoże żadna łza, żadna modlitwa?

Nie?! — Rzuca Bogu błuznierstwa.

... Że ona lepiej znała Juliana niż On... że Julian więcej kochał, niż ten Jego święty pośrednik w koronie!...

Matka, która żadnym sposobem z gardła nie może wyskubać drapiącej drzazgi z łez.

Idą inne postaci. Np. ta Kirjacha, pokazująca komin cegielni, na który to Olek po swoją śmierć lazał, namiawiająca, żeby strajku nie przerywać, dzieci do huty nie posyłać.

— ... A gdyby toż moje rodzone dzieci chciały iść, tobym siekierę wzięła i nie dała!...

A potem ci wszyscy inni. Cały ten świat przedmieścia, zwolna ginącego za mgłą rudej rdzy ceglanej.

Krytyka mówi, że najgłębszą treścią tej książki jest nową legendą, legenda nowych czasów, które nadchodzą.

Grönöwna Eda kl. VIII

Wrażenia z wystawy: Opieka nad dzieckiem i młodzieżą.

Mówiono o tej wystawie dosyć długo. Podobno miało to być coś cudownego. Wreszcie doczekaliśmy się jej otwarcia i pewnego pięknego dnia poszliśmy.

Przed gmachem Banku Krajowego, gdzie mieściła się wystawa, roilo się od dzieci ze szkół powszechnych i od młodzieży gimnazjalnej. Wchodzimy do środka. Tłumy. Szkoły, nietylko łódzkie, ale z całego województwa zjechały się na tę wystawę. Widocznie naprawdę musi być warta obejrzenia ta wystawa! Po kilku minutach wyczekiwania na schodach wchodzimy do pierwszej sali. Jakiś pan z Instytutu badania psychologicznego objaśnia nam rozmaite przyrządy, służące do badania inteligencji dziecka. Przeważnie służą do tego różne zagadki matematyczne. Wszędzie ta matematyka! Dalej widzimy wzorowo urządzone przedszkole dziecinne. Doprawdy ma się ochotę cofnąć o parę lat, aby móc pobawić się piaskiem i usiąść przy małym stolyczku na foteliku. Takie przedszkole to raj dla dzieci.

Uderza nas ogromna ilość fotografii na ścianach. Fotografje są różne. Jedne przedstawiają przedmieścia łódzkie i warunki zdrowotne, tam panujące. W brudnym, grząskim błocie bawią się łódzkie dzieci. Na innych zobaczyliśmy dzieci chore na gruźlicę, krzywicę i inne najrozmaitsze choroby, których podłożem jest nędza. Jednak jest coraz lepiej. Kilkadziesiąt tablic statystycznych wykazuje spadek śmiertelności u dzieci i spadek liczby dzieci chorych. Zainteresowała nas tablica z danymi o alkoholizmie wśród dzieci. Nigdy nie przypuszczaliśmy, że tyle dzieci pije alkohol. Z zachwytem oglądamy zrobione z gipsu sanatorium Anny Marji, a także fotografje. Jak tam jasno, słonecznie i miło. Wśród fotografij rozróżniamy sanatorium Anny Marji w Sokolnikach, tak dobrze nam znane.

Opuszczamy tę salę i udajemy się na górę. Pierwsza sala na górze jest poświęcona Marszałkowi Piłsudskiemu — temu Wielkiemu Przyjacielowi dzieci i młodzieży. Widzimy tu Marszałka jako dziecko wśród rodzeństwa. Czy i wtedy już w ciemnej głowie dziecka kiełkowały wielkie myśli? Ale najbardziej wzruszyła nas laurka ofiarowana w dniu imienin Marszałka przez Wańdzię Piłsudską. Stajnia, konik, żołnierz. Zwyczajny, dziecinny obrazek. A pod obrazkiem serdeczne życzenia dla ukochanego Tatusia. „... I żebyś nie potrzebował już tak dużo pracować, Tatusiu...“. Odpoczywa już na wieki Niestrudzony Pracownik.

Przechodzimy do sali największej. Ta sala cała jest podzielona na kilkadziesiąt pawiloników. Każde towarzystwo ma swój pawilonik, a w nim stara się przedstawić swoją pracę i jej owoce. Praca dokonana jest olbrzymia, ale to wszystko jeszcze za mało. Podziwiamy

wystawione prace dzieci. Nie chce się uwierzyć, że to wszystko zrobiły małe dziecinne rączki. Niektóre gimnazja łódzkie także mają swoje pawilony. Gimnazjum Zgromadzenia Kupców zrobiło z gipsu swoje Osiedle i ogród przy nim, a oprócz tego dało dużo zdjęć z Osiedla. Zrobiło nam się przykro. Przecież my mamy też Osiedle, napewno niegorsze od nich i mogłybyśmy też mieć swój pawilonik.

Bardzo nam się podobała ta wystawa. Świetnie oddaje doniosłość Opieki nad dzieckiem i młodzieżą. Po tem wszystkim, co widziałyśmy, zdawało nam się, że los dzieci łódzkich jest cudowny. Wracałyśmy do szkoły bocznemi ulicami. Na ciemnych, zimnych podwórkach krzyczały obdarte dzieci.

M. Weylandówna VII-a.

Sonata patetyczna wbrew woli.

Jak sen minęły... Słęcząc w granatowym bycie,
Wydrzyj z dnia codziennego lotną wizję lata
I w łańcuch, który z ogniw drogich wspomnień splatasz
Zakuj ją mitem.

Wtop w ogniwo beztroskę swawolną, swobodną,
Zmieszaj z radością boską kultu Bezczynności,
Z minionym czarem lata w sto uśmiechów płodnym
I sto radości.

Dodaj w ciało wchłoniętą rzeźwą gorycz morza
I smugi szaro-złote spłowiełego ciepła,
Moc płuc, w szaleńczym pędzie krzyków skrzepłą
Wśród ech bezdroży.

Srebrzystą naftaliną od moli sumienia
Spowij spaceru łódką „przedziwnie“ wywrotną
I powierz pluskiem wiosel wody bladej złotu
Siłę ramienia.

Na palenisku serca roznieć płomień wiary
I złącz alchemją uczuć ogniwo przeszłości
Z dnia dzisiejszego realnej wartości
Biecznym darem.

S. Kormanówna kl. VIII,

Z Jubileuszowego Zlotu Harcerskiego w Spale.

Jubileuszowy Zlot Harcerstwa Polskiego zgromadził w lasach spalskich tysiączne rzesze młodzieży skautowej z Polski i z zagranicy. Ogromny obóz rozłożono tuż koło rezydencji p. Prezydenta, na

obu brzegach Pilicy. Ożywił się stary, posępny bór życiem setek młodych, promiennych, roześmianych dusz harcerskich.

Pierwsze trzy dni wypełnione intensywną pracą nad urządzeniem obozu upłynęły szybko. Nastąpiło uroczyste otwarcie Zlotu, dokonane przez p. Prezydenta i rozpoczęła się praca Zlotu, której celem było wykazanie 25-letniego dorobku harcerstwa polskiego. W tym też celu zorganizowana została bardzo pomysłowa wystawa, obrazująca naszą ćwierćwiekową pracę w różnych jej etapach i dziedzinach; to samo również miały na celu codzienne pokazy, organizowane przez poszczególne chorągwie, a także biegi i gry harcerskie. Przedewszystkiem jednak chodziło o to, abyśmy my sami — naszym wyrobieniem technicznym i naszą postawą harcerską dali dowód, że jesteśmy członkami organizacji, opartej na silnych podstawach ideowych, organizacji, która wychowuje prawdziwego człowieka — obywatela.

Zasadnicza praca obozowa prowadzona była w drużynach. Tak więc i nasza dziewczątka urządziła sobie obóz na swój sposób i ustaliła program swej wewnętrznej pracy. Teren nasz był ładny i wygodny. Rozłożyliśmy się tuż przy głównej drodze, biegnącej przez środek Zlotu żeńskiego i dlatego może miałyśmy takie szczęście do gości, którzy nas b. często odwiedzali. A może podobały im się nasze różnobarwne, humorystyczne tabliczki informacyjne, umieszczone przed namiotami, albo stół „wspaniały“, który, biedak, nie dotrwał do końca i przedostatniego dnia zawalił się pod ciężarem obfitych porcyj, a może pociągała ich prześlicznie uśmiechnięta Baśka Wołodziejowska — patronka nasza?

Cel naszej wewnętrznej pracy określiliśmy sobie słowami ulubionej piosenki: „By z orłem pójść w zawody“, a hasłem naszym było: „Żwawo-wytrwale“. I w żwawej pracy radośnie upływały nam chwile, spędzone na Zlocie. Czas płynął szybko, ale zostawił dużo niezapomnianych przeżyć i niezatartych wspomnień. Było nas razem z kochaną naszą drużynową 19 i dziewięć Dunek, z którymi już po kilku godzinach zapoznaliśmy się, a po kilku dniach zaprzyjaźniłyśmy się na dobre. Dunki włączone były jako zastęp do naszej drużyny, co uważaliśmy sobie za wielką przyjemność i zaszczyt, który jednocześnie nakłada pewne obowiązki. Porozumiewaliśmy się zasadniczo w języku niemieckim, ale niemniejszą rolę odegrał harcerski — międzynarodowy sposób porozumiewania się „na migi“. W każdym razie rozumiałyśmy się doskonale. Szczerze żyłyśmy się z naszymi zagranicznymi gośćmi i bardzo serdecznie wspominamy wspólnie przeżyte chwile w ciągłych listach, jakie między sobą wymieniamy.

Zresztą, Zlot miał wogóle to do siebie, że podnosił nas na duchu, wlewał w serca jakąś wielką wiarę w dobroć ludzi i rozpałał nadzieję w jasne, promienne jutro.

Gdy widziało się rozradowanych Węgrów, tak bardzo czujących się przyjaciółmi Polaków, czy rozśpiewanych Słowaków, czy ciągle

roześmiane Dunki lub Angielki, to mimowoli myślało się o przecudnej idei prawdziwego braterstwa narodów, dla której Złot był wielkim krokiem naprzód.

Skończył się Złot.

Rozjechaliśmy się jacyś iuni, jakby lepsi, pełni entuzjazmu dla pracy harcerskiej i radości życia, pełni sił młodzieńczych i wiary w dobro i piękno.

Stefa Górska VIII.

Obozy Straży Przedniej w Druji.

Było nas dziesięć. Dziesięć dziewcząt zmęczonych całoroczną nauką, pragnących słońca, swobody i wypoczynku. Dziewięć ósmo- i siódmoklasistek i jedna maturzystka. W upalne czerwcowe popołudnie zebrałyśmy się na stacji Łódź — Kaliska, by wraz z obywatelkami z Pabjanic, Turka, Kóluszek, Tomaszowa i Piotrkowa opuścić rozpalone mury Łodzi i gdzieś, w nieznannej Druji wieść życie leśnych ludzi. Druja... hm, gdzie to właściwie leży? No, wiesz! przecież Inflanty... pierwsza wojna za Zygmunta Augusta, potem... Takie były nasze wiadomości o Druji. Podróż trwała dwa dni. Czarne z sadzy i z dymu stanęłyśmy wreszcie w Druji. Przyjęła nas gromadka ludności kresowej, KOP, grupa kwatermistrzowska no, i leniwie płynąca Dzwina. Namioty miałyśmy na ogromnej wyspie, tonącej w zieleni lip i świerków,

Odtąd zaczęła się bajka. Zniknął świat realny, a zaczął się czarowany. Na wyspie bowiem zaczęły dziać się cuda. Z dziesięciu uczenic Państwowego Gimnazjum z Łodzi stało się dziesięć Czerwonych Kapturek. Jak kapturek, tak i my chodziłyśmy do lasu, wprawdzie nie z koszyczkiem, lecz z plecakiem — na szyszki do ozdoby namiotów.

Miałyśmy w sobie siłę olbrzymiego Wałigóry: potrafiłyśmy przez dzień zrobić 50 km, co w warunkach normalnych byłoby rzeczą niemożliwą. Najpiękniejsze jednak były ogniska.

Siedziałyśmy otulone w koce wkoło rozpalonego ogniska. Jest jasna noc lipcowa... taka jasna, że widać o kilka kroków kopiec graniczny... Poważny szum lip, lip naszych i tych o kilka kroków na lewo rosnących lip łotewskich... cichy plusk Dzwiny... i mocne, pełne zapалу słowa komendantki. Spiewamy Rotę zwrócone w stronę Łotwy: niech zagranica wie, że Polska jest wielka, mocna, i że ma dobre córki. Inne były ogniska dla ludu. Nosily one charakter oświatowo-rozrywkowy. Szłyśmy do wsi, oddalonych od nas o kilka a nieraz kilkanaście km. Przy ognisku zasiadałyśmy zwartą gromadą, „mł“ — dziewczęta w lnianych mundurach i „oni“ — ludzie nieufni, zamknięci w sobie, ludzie kresowi. I zaczyna się przyjacielska pogawędka. Opowiadamy im o centrum Polski, o Warszawie, Krakowie, Lwowie.

Zaciekawili się. Pytają: a jak tam „chodzą“, jak mówią, jak się bawią. Pokazujemy im wtedy krasne stroje krakowskie, łowickie i śląskie, tańczymy ogniste mazury, krakowiaki, trojaki, i powolne kujawiaki. Śpiewamy śpiewki góralskie, krakowskie i powoli nawiązuje się kontakt. Już nie jesteśmy „my“ i „oni“. Lecz tylko my, my dzieci jednej Matki—Polski. Oni też chcą nam coś pokazać. Tańczą więc i śpiewają osławioną „Lawonichę“. Tak wyglądały ogniska we wsiach.

Cudne było tam życie. Cudne w dnie upalne i w dnie deszczowe. Umiałyśmy znaleźć radość życia wszędzie; przy gawędzie, na wycieczce, w wodzie — robiąc nieprawdopodobne wysiłki uchwycenia stylu „żabki“, czy wreszcie, leżąc w dni deszczowe na pryzkach, a nad pryzkami przemoczone płótno, a nad płótnem zawodzący krzyk wron. Minęły dni słoty i znowu opalałyśmy się na bronz i chwytaly z trudem naukę pływania.

Cztery tygodnie minęło. Przyszedł czas, że z plecakiem i kocem w rękę wychodziłyśmy z namiotów, by wrócić do Łodzi.

Czy przyrzekacie — kaptury — wrócić tu na przyszły rok? — zapytała któraś. Przyrzekamy!!! przyrzekamy... odpowiedziało echo drujekich lasów, zagłuszając naszą odpowiedź.

D. Nowakówna kl. VII-a.

Z obozów P. W. K. w Istebnej.

„Nie zaznał wygód, kto nie jeździł na obozy“.

Gdy teraz z perspektywy kilku miesięcy spoglądam na mój pobyt na obozie w Istebnej, wydaje mi się on jednym pięknym snem, którego jedyną wadą było to, że zakrótko trwał. Jak w kalejdoskopie przesuwały się przede mną barwne obrazki wspomnień: pierwsza noc, pierwsze ognisko, otwarcie obozu, pierwsza inspekcja, pierwszy alarm dzienny, nocny, warta, gry polowe, wycieczki i znowu zamknięcie obozu, ostatnie ognisko, ostatnia noc i — powrót, słowem, wszystko; maximum tego, co można przeżyć w ciągu jednego miesiąca, w pięknej górskiej okolicy, mieszkając w namiocie i mając 400 koleżanek; gdzie niema nic prócz swoich i lasu, i nieba, i rzeki, nic, coby nie było bliskie, drogie, kochane.

Miałyśmy gry polowe — szczyt marzeń każdej z nas. Wyobraźcie sobie — wymaszerować z wszelkimi potrzebnymi akcesorjami na cały dzień w teren, robić fikcyjne obozowisko i podchodzić, zdobywać, zwyciężyć lub być wziętą do niewoli. Czy to nie raj?

Gry polowe to niewyczerpany temat dla wspomnień i wspominków w tym gnuśnym, zimowym czasie, kiedy to się u matuli jak u Pana Boga za piecem siedzi i dobre, minione czasy „rozpamiętywuje“.

A na przyszły rok — spotkamy się znowu pod zielonym dachem namiotu, by do zeszłorocznego doświadczenia dolożyć nowy zapas wiadomości. Bo kto raz oddał się nieopatrznie w opiekę wesołego Marsa w zielonych spodniach, ten wpadł na amen i już zawsze będzie musiał służyć jego rozkazom. Nie jest to ciężka służba — nie obawiajcie się!

Pewiaczka.

Z naszego „Osiedla“.

Drugi już raz na naszym „Osiedlu“ spędziły wakacje polskie dzieci z Niemiec. Miesiąc byłam z nimi razem i zdaje mi się, że poznałam je dość dobrze. Tysiące tych dzieci, dzieci polskich mieszka poza granicami kraju, często nie słysząc mowy polskiej.

Biedne dzieci, nie wiedzą nieraz nawet, że są obywatelami innej ziemi, nie tej, na której mieszkają. Przecież nawet nazwiska ich są zmieniane, dodano do nich bowiem końcówki, właściwe nazwiskom niemieckim. A jednak obcość tych dzieci, to tylko pozory. Same nawet nie przypuszczałyśmy, że wiedzą one i czują, jak wiele mają z nami wspólnego. że wystarczy im tylko maleńka iskierka polskości, aby zrozumiały, czem są i za co powinny walczyć. I dlatego pobyt dzieci z zagranicy na kolonjach w Polsce ma dla nich ogromne znaczenie, a nam jest bardzo, bardzo przejemnie, że nasze „Osiedle“ jest właśnie taką placówką, zaszczepiającą poczucie polskości małym naszym współbraciom z zagranicy.

Do „Osiedla“ dzieci z Niemiec przyjechały dnia 28-go czerwca. Było ich dwadzieścia, bardzo źle mówiących po polsku i spoczątku porozumiewających się przeważnie tylko po niemiecku. Ale później wzruszające były ich usiłowania, aby mówić tylko i wyłącznie po polsku. Zwracały sobie nawet nawzajem uwagę, gdy która użyła jakiegoś zwrotu niemieckiego, pytały się z ciekawością o polskie nazwy przedmiotów mniej znanych. Byłam mile zdziwiona, gdy okazało się, że dzieci te mimo niedokładnej znajomości języka znają polskie pieśni jak np.:

Hej, z góry, z góry
Jadą Mazury... i t. d.

Albo:

Tam nad Wisłą w dolinie
Siedzi dziewczyna
Była piękna jak różany kwiat...

Jak się okazało, w dzień chodzą na kursy języka polskiego — jedyną rzecz dozwoloną. Szkół polskich powszechnych niema, gimnazjum jedno jedyne w Bytomiu. Na kursach tych uczą się czytać,

pisać i śpiewać po polsku, a także tańczą polskie tańce jak: kujawiaki, krakowiaki, mazurki i oberki.

W godzinach popołudniowych zostały urządzone lekcje „polskości”. Uczyły się na nich dzieci pisać po polsku, śpiewać i tak po literce, po słowie, po piosence szło się do ich dusz i uświadamiało się te biedne małe polskie dziewczątka: co to jest Polska, dlaczego ją kochać należy. Padało miękko słowo o Wodzu, który z kajdan wiekowej niedoli wyzwolił ziemię polską, padały słowa o wielkich bohaterach i o orle białym...

Małe, spętane duszyczki zaczęły się zwolna wyzwalać z kajdan ciemnoty, zaczęły rozumieć, czym są i jakie mają obowiązki względem swej Ojczyzny. Nie mówiły już po niemiecku, śpiewały tylko polskie piosenki, a najbardziej polubiły piosenkę: „Płonie ognisko i szumią knieje”...

W dzień wyjazdu zebrałyśmy się wszystkie przy sztandarze, gdzie ostatni już raz przemówił do nich kierownik kolonji. Jasne i gorące słowa przenikały w przygotowany już grunt młodych duszyczek i pewnie już tam pozostały. Gdy zaś małe Polki zaśpiewały pełną piersią: „Jeszcze Polska nie zginęła”, zrozumiałam, że te drobne istotki nie zginą między Niemcami, nie zgermanizują się, że wyrosną na godne Polki, matki przyszłych pokoleń, które będą umiały wychować swe dzieci dla Ojczyzny. W parę minut potem żegnałyśmy się z nimi: nie były to już dzieci, ale jakby dorośli, w skupieniu ducha przyrzekały nam, że nic nigdy nie zapomną z tego, czego się u nas nauczyły, co rozumiały i co pokochały.

...Czerwono-biały sztandar powiewał nad ziemią....

Nowacka kl. VIII.

Korespondencja.

Jak wiadomo, szkoła nasza opiekuje się dziećmi na Polesiu. Ma my przydzielone dwie szkoły, z których jedna jest w Lisiatyczach, druga w Mołotkowicach. Do tych szkół wysyłamy mapy, książki, których tam naprawdę brak, pióra, ołówki. Na zimę zostaną wysłane również ciepłe ubrania.

Ze szkoły w Mołotkowicach dostałyśmy „na pamiątkę” małeńką piłkę z gałganków, (którą się dzieci bawiły, zanim wysłaliśmy im „prawdziwą piłkę nożną”) i inne „akcesorja” jak: słomkowy kapelusz, pantofle z łyka drzewnego — wszystko własnego wyrobu.

A oto, jak dzieci dziękują za to, co my im wysłaliśmy:



18-V-35 r. Mołotkowicze.

Kochane Opiekunki!

Otrzymaliśmy Wasz list 15 maja. Jak pan kierownik wyniósł Wasz list z kancelarji powiedział, że znów Wyście przysłały list to my byłyśmy bardzo wesole. Jak przeczytała nasza koleżanka z klasy IV-tej to my staliśmy cicho i słuchałyśmy co Wy do nas piszecie. Jak nasza koleżanka przeczytała list to pan kierownik wezwał harcerzy do kancelarji, aby pokazać nam co Wy nam przysłali. Najpierw wyszedł pierwszy harcerz wyniósł piłkę i pompkę do pompowania piłki. Drugi harcerz wyniósł dwa fartuszki, chustkę i chusteczkę do nosa. Trzeci harcerz wyniósł dwa obrazki. Czwarty harcerz wyniósł trochę książek. Piąty harcerz wyniósł resztę książek. Szósty harcerz wyniósł obrazki historyczne. Siódmy pisemka Wasze co to Wy same piszecie. Ósmy wyniósł zeszyty. Dziewiąty harcerz wyniósł piórniki z piórami, z ołówkami, z obsadkami, i z farbkami. Jak harcerze wynosili te rzeczy to jeden, na drugiego lazył, aby zobaczyć. Ci harcerze stanęli w szeregu koło szafy. Dziękujemy Wam za ten Wasz podarunek bardzo serdecznie.

Niech Wam Pan Bóg za ten Wasz podarunek dopomoże w nauce i w życiu.

Tylko my teraz jesteśmy smutni i cała Polska jest smutna—płacze, że Pan Marszałek Józef Piłsudski Pierwszy Brygadjer, nasz i całej Polski Ojciec umarł. My dopiero dowiedziały się w poniedziałek na zajęciach praktycznych. Nam powiedział pan kierownik. W ten czas zawiesiliśmy flagę narodową opuszczoną na dół i czarną wstążką przepasaną. Wtedy pobiegliśmy do pociągu. W pociągu zobaczyliśmy pana inspektora. I na lokomotywie były trzy chorągiewki do pół masztu opuszczone. W naszej szkole odbywało się święto za duszę ś. p. P. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Zebraliśmy się przed szkołą przyszedł pan kierownik. Poustawiał nas w pary. Na samym przedzie harcerze z flagą narodową. Za harcerzami szły dziewczynki. A za dziewczynkami szli chłopcy. Zastępca drużynowego prowadził harcerzy, dwie koleżanki prowadziły dziewczynki, te koleżanki były z kl. IV-tej i dwóch kolegów z kl. IV-tej prowadzili chłopców, i poszliśmy do cerkwi. Po nabożeństwie przyszliśmy do szkoły.

Stanęliśmy do drużyny harcerskiej przodem i nastalo dwie minuty ciszy.

Prosimy Was bardzo serdecznie żebyście Wy przyjechali do nas na wycieczkę. W naszej wsi jest stacja. Nasza szkoła jest położona koło stacji.

Prosimy jeszcze Was żebyście przysłały fotografię Waszej szkoły i Was wszystkich.

Jeszcze jak bywacie na wycieczkach w lesie.

Dowidzenia
Sawicki Konstanty.

kl. III-cia Rok 1935/36.

Recenzje (w Łódzkim Teatrze Miejskim).

„Wróg ludu“.

Henryk Ibsen, wielki dramaturg norweski, żył i tworzył u schyłku ubiegłego stulecia. Między innymi dziełami, traktującymi o problemach społecznych, znakomitym utworem jest: „Wróg ludu“. Głównym zagadnieniem tego utworu jest walka jednostki o swe prawa, o urzeczywistnienie swych poglądów i ideałów.

Gdy się przeczyta „Wroga ludu“, oczekuje się czegoś równie dobrego na scenie. Pod tym względem doznałam, niestety, rozczarowania. Mojem zdaniem, mocno „szwankowała“ obsada artystów; chociaż dwie główne role zagrane zostały pierwszorzędnie.

Postać doktora Stockmana była naprawdę bez zarzutu. Karol Adwentowicz swoją naturalną grą pozyskał sobie całą widownię.

Artysta, grający rolę Jana Stockmana, doskonale umiał odtworzyć typ człowieka suchego, zimnego i podstępnego; egoistę, dążącego do władzy, który zasłania się tem, że wszystko robi dla dobra miasta.

Reszta typów, stanowiących jedynie tło dla tych dwóch ludzi, — zupełnie słaba.

Pominąwszy poszczególne osoby, chcę dodać, że scena zbiorowa nie podobała mi się. To nie znaczy, że była źle zagrana. Nie! Lecz argumenty doktora Stockmana wydają mi się za słabe, żeby mogły znaleźć odpowiedni oddźwięk wśród mas.

Ostatnie słowa doktora Stockmana brzmią mi ciągle w uszach. „Słuchajcie! Najpotężniejszym człowiekiem na świecie jest ten, który sam stoi!“ Ten wniosek pod pewnemi względami jest słuszny, ale zupełnie się z nim zgodzić nie mogę. Rzeczywiście, człowiek, który „sam stoi“ jest naprawdę potężnym, ale tylko moralnie, gdyż taki człowiek, nie mający poparcia wśród mas społeczeństwa, zdziałać może, niestety, bardzo niewiele.

M. W.

Z pism nadesłanych.

Ostatni numer (10) „Skrzydlatej Floty“ jest przeważnie poświęcony międzynarodowym zawodom balonowym o puchar Gordon Bennett'a.

Możemy być dumni z rozwoju polskiego lotnictwa i z polskich lotników, którzy zdobyli po raz trzeci puchar Gordon Bennett'a, mimo wielkiej konkurencji państw innych. (Niemcy byli najlepiej przygotowani). Kto bliżej interesuje się temi zawodami, ten przeczyta, oprócz tego sprawozdania (bardzo szczegółowego), także i wspomnienia z lotu balonem zwycięzcy zawodów.

Przy końcu numeru jest bardzo ciekawa wzmianka o człowieku, który lata siłą swoich mięśni. Wyniki tych prób są bardzo interesujące.

Ostatnio został wydany numer p. t. „Straż Przednia na wsi“.

Z numeru tego dowiadujemy się, jak „strażowska“ brać różnych województw Polski spędzała wakacje 1935 r. Wśród błot poleskich, na Wołyniu, nad morzem, przy granicy rosyjskiej rozbite zostały namioty Straży Przedniej.

Wyniki pracy realizacyjnej są naprawdę imponujące.

„Iskry“ (9) poświęcone są rocznicy 11 listopada. Na wstępie znajdziemy śliczny wiersz Heleny Duninówny p. t. „11 listopada“, napisany sercem tej, która sama przeżyła czasy niewoli Polski i chwilę Jej żmartchwywania.

Ryszard Zrałek skreślił wspomnienia o L. P., Kawalerze Krzyża Niepodległości. Píše on słowami prostemi o człowieku wielkim, lecz wśród ludzi — szarym, dla którego marzeniem była Geografia Piotra Czarkowskiego.

R.

Kronika szkolna.

- 3.IX. — Uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego.
10.IX. — wracały wojska do Łodzi z wielkich manewrów jesiennych. Wydział Gminy Szkolnej wziął udział w powitaniu dzielnych wojaków,
14.IX. — zbiórka drużyny harcerskiej, poświęcona wspomnieniom ze zlotu harcerskiego w Spale. Zbiórkę zaszczyliła swą obecnością p. Dyrektorka.
20.IX. — Otwarcie świetlicy.
22.IX. — Klasa ósma, jako delegacja szkoły, wzięła udział w nabożeństwie w kościele M. B. Zwycięskiej z okazji święta W. F. i P. W.
25.IX. — odbyło się pierwsze w nowym roku szkolnym zebranie Sejmiku.
3.XI. — w kościele św. Józefa została zakupiona msza św. za spójność duszy Pierwszego Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego przez tut. Gminę Szkolną.
8.XI. — zebranie Koła Filologicznego z zaproszonymi gośćmi dla wszystkich hufców szkolnych w Łodzi, zorganizowane przez państw. gimn. im. E. Sczanieckiej.
10.XI. — Uroczysta Akademia Święta Niepodległości.
25.XI. — Odbył się koncert staraniem drużyny harcerskiej.

W roku 1934/35 świadectwa dojrzałości otrzymały:

Frankiewiczówna Zofja, Gelermanówna Chana, Jelińska Romana, Kawecka Zofja, Kazulakówna Jadwiga, Opatowska Cyryla, Orłowska Irena, Pietrzycka Irena, Remusówna Marja-Ludmiła, Rozenfarbówna Chana, Stępieniówna Stefanja, Wiernikówna Helena, Wolfówna Halina, Auderska Jadwiga, Auderska Wanda, Baracówna Hilda, Bermannówna Sara, Epsteinówna Izabella, Filipowiczówna Janina, Filipiska Marja, Grzesiakówna Danuta, Górska Lucja, Granowska Fryda, Kulczycka Halina, Kapłanówna Halina, Nowakowska Halina, Potocka Wanda, Siwińska Alicja, Tosikówna Zofja, Turnerówna Anna, Waszkiewiczówna Zofja, Wilczyńska Jadwiga, Zaorska Helena.

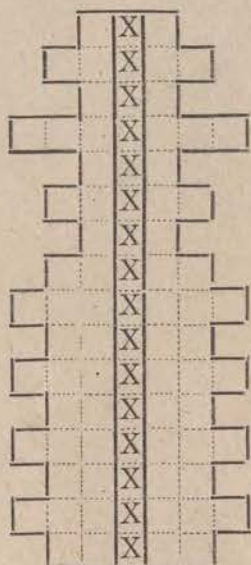
Koleżanki!

Musimy dążyć, żeby nasz „Młodzieńczy Lot“ doskonalił się coraz bardziej! Musimy podnosić jego poziom literacki coraz wyżej!

Do celu swego zbliżymy się jedynie wtedy, gdy każda z Was szczerze wypowie się na ten temat. Po wyjściu więc każdego numeru „Młodzieńczego Lotu“ nadsyłajcie swoje uwagi o poszczególnych artykułach.

Zapewniamy, że choćby najsurowsza krytyka, będzie mile przez Redakcję widziana.

Redakcja.



ułożyła be kl. III-b.

Początkowe litery dadzą rozwiązanie.

Objaśnienia:

1. Litera fonetycznie.
2. Przyrząd do wydobywania wody.
3. Inaczej laska.
4. Choroba.
5. Firma, wyrabiająca kosmetyki.
6. Miasto w Polsce.
7. Owad.
8. Król murzyński.
9. Drzewo.
10. Skorupiaki morskie.
11. Owoce południowe.
12. Imię żeńskie.
13. Naczynie do polewania kwiatów.
14. Inaczej silny.
15. Mały wodospad.
16. Inaczej wrota.

Za Redakcję Dr. R. Pachucka.

Wydawca: Gmina Szkolna

Skład Redakcji „Młodzieńczego Lotu”: Redaktorka Naczelna: Koralczykówna Sabina. Kierowniczkki poszczególnych działów: Grönówna Eda, Wielbińska Barbara, Kormanówna Salomea, Nowakówna Danuta, Weilandówna Marja, Kopczyńska Barbara, Tochtermanówna Marja, Wyrwasówna Anna.

Redakcja i Administracja: Gimnazjum Żeńskie
im. E. Szczanieckiej — Łódź, Pomorska Nr. 16

Cena pojed. numeru 50 gr.
Prenumerata 30 gr.

Drukarnia Ludowa w Łodzi, ul. Piotrkowska 83, tel. 141-56.

